Nr. 4. Kraków, w kwietniu 1903 r. Rok IV.



PRZODOWNICA

Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Chrystus zmartwychwstan jest!

»A pierwszego dnia sabatu Marya Magdalena przyszła rano, gdy jeszcze były ciemności, do grobu i ujrzała kamień odwalony od grobu«.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego to wielki dzień dla polskiego narodu. Myśl mimowoli robi porównanie, duch potężnieje, serce bije nadzieją i wiarą.

Po utracie wolności Ojczyzny ani na chwilę nie straciliśmy wiary, że wszechmoc Boża Ojczyznę nam zwróci, a nigdy modły nasze nie płynęły goręcej do Bożych stóp, niż w ten dzień Zmartwychwstania Odkupiciela świata.

By zgładzić winy ludzkości, ofiarował się Syn Boży na mękę i śmierć krzyżową. By okazać tryumf przedwiecznej Prawdy, powstał z grobu i wstąpił w niebo, by tam przygotować miejsce tym, którzy Weń uwierzyli.

I Polska poszła na męczeństwo okrutne w obronie wiary swej świętej, w obronie prawdy i cnoty. Przywalono ją ciężkim głazem i powiedziano jej: Nie powstaniesz więcej.

Stało się, że Polska powstaje, bo wierzyła, bo głosiła Zmartwychwstanie owe. Zbudził się polski lud w Wielkopolskiej ziemi i mężnie stoi przy swych prawach. Nad Bałtykiem polskie rozlegają się hasła, pod Moskalem łączą się stany i chłop z ust studenta lub pana łowi nowinę o Wielkim Dniu, który nadchodzi. Na Ślązku, od sześciu wieków oderwanym od Polski, lud w imię Ojczyzny - Polski gotuje się do wyborów, a na ziemi Krakowskiej słychać zewsząd dobre wieści.

I czujemy wszyscy, że Ojczyzna zmartwych już wstaje, że nie ma takiej siły, którąby dłużej uciskała jej kamień grobowy. Czujemy, jak pękają okowy, duch się zrywa do lotu, na usta wybiega tryumfująca pieśń Zmartwychwstania. Więc od stopni polskich ołtarzy popłynie w niebo na nutę dziękczynienia wielkie, potężne, święte Alleluja!

ALLELUJA!

Alleluja! słychać głosy z pełnej piersi płynące,
Huczą strzały, dźwięczą dzwony, płoną świece żarzące.
Radość ludziom bije z czoła,
Każdy w uniesieniu woła:
Alleluja, Alleluja, niechaj zabrzmi Alleluja!

Chrystus zwalczył, zgniótł szatana i zwyciężył śmierć srogą,
On jest ziemia obiecana, naszym celem i drogą,
Za nim trza kroczyć na ziemi,
By w niebie wołać z Świętymi:
Alleluja i t. d.

Niejednemu dzisiaj może chleba braknie czarnego;
Inny, powalon na łoże, usiłuje wstać z niego.
Choć głód dokucza, cierpienie,
Jednak ciche szle westchnienie:
Alleluja i t. .

Dzisiaj modły Łazarz wnosi, dźwigając się z pościeli,
Naród polski Ciebie prosi: wyrwij z wrogów gardzieli,
Dajże im upamiętanie
Przez Twe święte Zmartwychwstanie,
Alleluja i t. d.

Wróć, Boże, wolność Ojczyźnie, dozwól by zmartwychwstała;
Niech miłością serca bliźnie spoi nić zgody trwała,
Niech swobody słońce wschodzi,
Ludzkość z nocy oswobodzi.
Alleluja, Alleluja, niechaj zabrzmi Alleluja!

Franciszek Kuś.

Legenda o pomniku Mickiewicza w Warszawie.

Było to dnia 24 grudnia 1898 roku.

Cała Warszawa stała jak jeden człowiek, którego pierś ścisnął ból, dziwny ból.

Tłumy milczące stanęły na Krakowskiem Przedmieściu, otoczone kordonem wojska, policyi i żandarmów.

A tam ponad tłumy strzelał pomnik, owity jeszcze w żgła.

Cisza była wielka, nadzwyczajna cisza. Taka cisza może być tylko w Warszawie w dzień święta narodowego.

U stóp pomnika stało kilku starców z odkrytemi głowami. Pięciu ich było. Nie pozwolono im przemawiać. Ale oblicza ich wygłosiły do tłumów pięć niemych, żywych mów.

Wtedy opadły płótna i tłumom ukazała się spiżowa postać Mickiewicza.

Przerażającą ciszę przerwał tylko spazmatyczny płacz jakiejś kobiety.

To była szósta mowa.

Nagle ozwała się w oddaleniu trąbka. Maszerowały wojska. Fala szarych sukman, poprzecinana ciemnemi kreskami karabinów, przepływała pomiędzy tłumami a pomnikiem.

I słychać było tylko miarowy tupot kroków po bruku, brzmienie trąbki, komendę.

Nagle tłum ruszył się. Z najdalszych ulic Warszawy poczęła się toczyć ludzka rzeka, przebijała kordony, ocierając się o pomnik. A z tej milczącej rzeki, ujętej w białe śniegi zimy, wytryskały w górę do pomnika jedną nieustającą, kwietną fontanną, bukieciki fiołków, róż, azalij, przywiezionych pociągami gdzieś z nad błękitnego Adryatyku, bo ich wtedy w Polsce nie było.

Ta rzeka ludzka, bez źródeł i ujścia, przepływała tak długie godziny u stóp pomnika, milcząca, tylko z niej biła wciąż w górę ku postaci wieszcza ta fontanna kwiatów.

To była siódma mowa, najdłuższa, mowa milczących tłumów.

. . . .

W ubogo umeblowanym pokoiku siedziała na fotelu staruszka, a u nóg jej klęczał syn. Twarz pochylił na kolana matki i płakał.

A ona położyła mu drżącą rękę na głowie i szeptała, trzęsąc się:

— Więc byłeś?... Więc widziałeś?...

Syn zamiast odpowiedzi, objął jej nogi i zaszlochał. Potem siadł u jej stóp, ona zaś mówiła:

— Ja wiedziałam, wiedziałam, że się coś takiego stanie, tylko nie rozumiałam... Ale teraz rozumię... Posłuchaj mnie. Opowie ci matka szczególne zdarzenie. Młody jesteś, świat przed tobą... Posłuchaj tego, co ci opowie stara matka, którą niebawem pochowasz...

. . . .

Było to w roku 1856.

Ja i twój ojciec nieboszczyk znaliśmy go. Wiedzieliśmy, że wyjechał do Konstantyno-

pola. Ale co się z nim tam działo, nie wiedzieliśmy.

Ogarniał nas o niego wielki niepokój.

Otóż pewnej nocy nawiedził mnie szczególny sen.

Sniło mi się, że piękną nocą księżycową szłam z twym ojcem przez Krakowskie Przedmieście.

Cisza była. Miasto spało. Zielone światło księżyca zalewało ulice.

Nagle wprost Trębackiej ujrzałam na placyku jakąś jakby mglistą postać. Sunęła dwanaście kroków naprzód, zawracała i szła znowu dwanaście kroków z powrotem, jak gdyby oczekując kogoś.

Postać owa, biała, niby z mgły utkana, była mi dziwnie znajoma. To czoło, to oblicze natchnione, choć niby z białej mgły, znałam, znałam, znałam!

Chwyciłam twego ojca za rękę i szepnęłam:

— Patrz... Ależ tam... Tam stoi pan Mickiewicz!

Ojciec twój aż cofnął się o krok ze zdumienia, rozłożył ręce. A owa postać obróciła się teraz twarzą ku nam i utkwiła w nas spojrzenie.

Podbiegliśmy ku niej z wyciągniętemi rękami, a ja, tchu w piersiach nie czując, zawołałam:

— Panie Mickiewicz.. Co pan tu porabia?

Wtedy owa postać mglista, tak uderzająco podobna do Mickiewicza, odrzekła z niesłychanem przekonaniem w głosie:

— Ja? Ja tu teraz będę...

. . . .

I widzisz, synku, ja tego snu nigdy nie umiałam sobie wytłómaczyć. Nie mogłam go zrozumieć.

— A teraz — teraz rozumię... O, rozumię... Widzisz, on teraz u nas jest!

. . . .

A syn znowu objął nogi matki, pochylił twarz na jej kolana i zapłakał.

. . . .

Taką to legendę opowiadziała owa staruszka swemu synowi dnia 24 grudnia 1898 roku, w Warszawie, w pamiętny dzień odsłonięcia pomnika wieszcza naszego Adama Mickiewicza. *Andrzej Niemojewski.*

Przy Święconem.

Przy Święconem, przy życzeniach,
Oto stajem w waszym progu.
Liczni goście — drodzy sercu,
Mili duszy — mili Bogu.
Jakże wołać ich się godzi?
Gdzież im miejsca znaczne damy?
Czem ugościm? Jak ubawim?
Gdy nie wiele posiadamy.
Oto przyszła R a d o ś ć zdala,
Gość dziś rzadki w polskiej chacie,
O! i w ziemi tej Ojczyzny
Nie tak często go spotkacie,
Bo to u nas — Wielki Tydzień
Długo trwa już — męczeństw tyle,
Tyle stacyj, krzyżów, cierni...
Jakby w smutku na mogile.
Ale dzisiaj — przy Święconem,
Szary smutek znikł w oddali,
Przyszła R a d o ś ć jasna, świeża,
Po piosenek przyszła fali,
Po tem graniu naszych dzwonów,
Po tych kwiatach u Ołtarzy,
Przypłynęła, poszła w chaty,
Przy Swięconem z nami gwarzy.
Ale za nią, za tą jasną
I N a d z i e j a się zjawiła.
O! prześliczna! ciepłą dłonią
Nas do serca przytuliła,
I tak jakoś, w głębi duszy
Jakby nowe przyszły siły,
Duch się wzmocnił, jaśniej wkoło,
Znikły chmury co dzień ćmiły.
Przy Święconem, co za goście
Z nieba — z nieba tu przychodzą.
Oto patrzcie — M i ł o ś ć z Z g o d ą
Są tu z nami i już godzą,
I już serca rozgrzewają,
I brat bratu milszy — droższy —
Nikt nie widzi, czy możniejszy,
Czy maluczki lub uboższy.
Jeno widzi, że brat tobie,
Że mu Polska także Matka.
Więc serdecznie brata gości,
Czy dwór możny, czy też chatka,
Przy Święconem inne życie,
Inne serca, ludzie inni,
Boć to goście do nas wchodzą
Przeanielscy i niewinni.
Oto patrzcie — w srebrnej szacie
W i a r a u nas, jakby słońce,
A zwątpienie znika w dali,
Ledwo widać skrzydeł końce.

To ta Wiara nasza dawna,
Co jak martwa, w grzechów pyle
W sercach naszych — jakby w trumnie
Przeleżała czasu tyle.
Teraz żywa, z zmaz obmyta
Zmartwychwstała. Jakaż silna,
Jak promienna, jak potężna
Myśl w niej bije zamogilna.
Ducha wiedzie w nowe drogi,
Które wieczność przybliżają.
Wiara — Miłość i Nadzieja
Nowych ludzi w nas stwarzają.
Bo święcone nasze serca,
Nasze modły — nasze czyny —
Bo brzmi wielkie Alleluja!
Zmartwychpowstał Bóg Jedyny!
O Najdrożsi! O Polacy!
Niechże goście ci zostaną,
Niech rozwiną swoje skrzydła
Nad Ojczyzną tą kochaną;
Niechaj żyją w naszem sercu,
Jako światła nie zgaszone..
Wtedy będzie w Polskiej ziemi
Alleluja i Święcone!!

Jadwiga z Łobzowa.

Historya Ziemi.

I.

Wiecie zapewne, kochane Czytelniczki, że Ziemia nasza jest jednem z mnogich ciał niebieskich, tak zwanych planet, które krążą około słońca i od niego otrzymują największe dobro swe, a konieczny warunek istnienia dla wszystkich tworów żyjących, to jest: światło i ciepło. Wiecie też i to, że Ziemia ma kształt ogromnej kuli, że jej powierzchnia składa się z lądów stałych, czyli suchej ziemi i oceanów t. j. wielkich zbiorowisk wody morskiej, a ponad tem wszystkiem unosi się do wysokości kilkudziesięciu kilometrów atmosfera, inaczej zwana powietrzem. Lądy stałe suche, ponad morskie tonie wzniesione, oraz dno oceanów, czyli zagłębienia, razem wzięte, stanowią tak zwaną skorupę ziemską, która to skorupa, jak łupina zawartość jaja, tak samo wnętrze ziemi naszej otacza. A wnętrze to nie jest wcale stałem, lecz płynną, rozżarzoną i roztopioną masą ognistą, która od czasu do czasu przez otwory wulkanów na zewnątrz się wylewa i czyni naokół wielkie spustoszenia. — I drugi jeszcze jest dowód, że we wnętrzu ziemi znajduje się żar ogromny; oto robotnicy, którzy pracują w różnych kopalniach, spuszczając się w głąb szybów, czują, że im niżej w ziemię się zapuszczają, tem większe panuje tam ciepło. To już nie słońce, ale gorąco ognistego wnętrza ziemi jest powodem takiego podnoszenia się tam ciepłoty.

Ale — zapytacie pewnie — dlaczegóż to ziemia taką jest niejednolitą, na powierzchni ostygłą, zakrzepłą, stałą — i jedynie promieniom słońca zawdzięczającą swe ciepło i życie, a za to we wnętrzu tak bardzo rozpaloną i płynną? Otóż, ażeby Wam to wytłómaczyć, potrzeba najpierw opowiedzieć, w jaki sposób ziemia nasza narodziła się, żyła, rosła, rozwijała się i starzała. O, tak! bo Ziemia nasza to bardzo zgrzybiała staruszka, wiek jej uczeni obliczają na przeszło 100 milionów lat! A przecież daleko jej jeszcze do śmierci, może jeszcze drugie sto milionów lat żyć zdrowo i pięknie i krzepko wyglądać... bo nie najstarsza ona ze swej licznej rodziny. Ośm planet, które znamy i na niebie bądź gołem okiem odróżniamy, bądź tylko przez szkła powiększające i zbliżające (t. zw. lunety) dostrzedz możemy, stanowią najbliższe rodzeństwo naszej Ziemi, a rodzicem ich wszystkich to: słońce!

Słońce też nie zawsze takie było piękne, czyste i jasne jak dzisiaj. Był czas, a to już temu ogromnie jest dawno, miliony milionów lat upłynęło, gdy słońce stanowiło olbrzymią, to znaczy tak wielką, że Wam tego ogromu nawet określić nie podobna — kulę, z bardzo lekkich gazów złożoną (mgławicę), a przez Pana Boga obdarzoną powszechną w przyrodzie siłą ruchu wirowego, to jest, że kula ta dokoła siebie z nadzwyczajną szybkością się obracała. Gdy jakieś ciało tak szalenie wiruje, czyli około siebie tak szybko się kręci, musi spowodować, że cząstki najbardziej nazewnątrz niego będące i najlżejsze, nie mogą mu w tym ruchu nadążyć, przez co coraz to bardziej opóźniają się, odsuwają i naokoło kręcącego się ciała osobne wytwarzają ciało, w kształcie opasującego je pierścienia. I ten pierścień naturalnie obraca się około kuli, z której się utworzył, potem przerywa się, nawija na siebie i jako osobna kula, wirując około siebie samej, dalej pędzi czyli biegnie doekoła swego rodzica, boć ona, ta nowo powstała kula, ta planeta, to jest dziecko owego pierwotnego

ogromnego, gazowego ciała — owego słońca-mgławicy.

Tak więc porodziły się dzieci słońca, kolejno w następującym porządku: 1) Neptun, 2) Uranus (obie te planety gołem okiem wcale niewidoczne, tak bardzo daleko są one od nas i słońca), 3) Saturn, 4) Jowisz, 5) Planeta rozbita na drobne, 6) Mars, 7) Ziemia, 8) Wenus czyli Jutrzenka i 9) Merkury.

Nie zajmując się na razie innemi planetami, o Ziemi dziś tylko mówić będziemy.

Gdy więc z odłączonego od słońca pierścienia gazowego przez przerwanie i nawinięcie się na siebie, powstała Ziemia, zaczęła, jak to prawo natury wymagało, zaraz kręcić się czyli wirować około siebie a równocześnie gonić słońce, czyli biegnąc za nim, okrążać je bez przerwy. W tej pogoni przebiegała Ziemia ogromne przestrzenie i chłodła, oraz gazy swe ściągała, zgęszczała, aż stała się cała kulą płynną i rozżarzoną. Jak długo trwała ta wysoka ciepłota Ziemi, oznaczyć nie pododobna. Tysiące tysięcy lat upłynęło, nim zmniejszać się ona zaczęła, a wtedy Ziemia była gęstą masą na kształt ciasta, poczem dopiero zaczęła na dobre tężeć, aż wreszcie żarzące, miękkie, ogniste jądro jej otoczyła powłoka gorąca jeszcze co prawda, ale ciemna, stała i twarda.

Lecz teraz dopiero rozpoczęły się dla Ziemi straszne przewroty, niby choroby dla rosnącego dziecka.

Skorupa ściskała jej wnętrze, a to pomieścić się w niej nie mogąc, rozrywało ją w niektórych słabszych miejscach, i przez te otwory, szczelinami wylewało się na zewnątrz, jako lawa, na powierzchni zastygając, która utworzyła potem ogromne skały granitowe, bazaltowe, porfirowe, łupkowe i t. p. Równocześnie powietrze miało w sobie bardzo wiele pary wodnej, która skraplała się i jako ulewne deszcze spływała na ziemię; a ponieważ jej powierzchnia była gorącą, więc woda ta natychmiast znów w parę się zamieniała, unosiła do góry po to, aby następnie znowu skroplona na ziemię opadła. Wreszcie, gdy powierzchnia ziemi o tyle się ochłodziła, iż woda na niej utrzymać się już mogła, wypełniła nią wszelkie zagłębienia ziemi, tworząc oceany, morza, jeziora, rzeki itp. Reszta powierzchni jako suchy ląd ponad wody wysterczała. Wody te jednak nie próżnowały, ale do pracy się ciężkiej a pożytecznej zabrały. Były one podówczas bardzo ciepłe jeszcze i miały w sobie wiele gazu t. zw. kwasu węglowego, więc to czyniło je zdolnemi do rozpuszczania masy mineralnej dna swego, spłukiwania go, przenoszenia niektórych cząstek na inne miejsca, osadzania ich tam — t. j. tworzenia późniejszych skał, t. zw. warstwowanych, jak naprzykład: gipsu, soli, wapienia i t. p.

O skałach tych, i różnych cennych a pożytecznych w nich będących pokładach, napiszemy w następnym numerze. *M. T. Bł.*

Sierota — cyganka.

We wsi, po której się włóczyła, nazywano ją zwykle cyganką. Nie lubiano jej, bo miała ciemniejszą twarz od innych dzieci wiejskich i nic robić nie chciała, choć miała już lat dwanaście, na słonku się wygrzewała i patrzała hen, poza góry dalekie, co niby nieba sięgały. Jakie było jej imię, nikt nie wiedział ani ciekawy tego nie był. Raz ją ktoś Rózią nazwał, tak i Rózią została. Z czego żyła? Alboż to dobrych serc mało na świecie? Tak i we wsi. Ten jej dał czarnego chleba kęs, ów przy podoju kapkę mleka odlał do blaszanki, ot żyła, jak to ptaszę boże, co to ni orze, ni sieje, a żyje. Ale ptaszę chwalić Boga ślicznym głosem umie. Słowik do północki ciągnie a ciągnie cieniutkie tony, aby się Panu w Niebiesiech przypodobać, a skowronek jak za orzącym rolnikiem podlatuje, tak się zdaje, że mu gardziołek pęknie od tego śpiewania. A wszystko to dla Stwórcy w podzięce za ziarno złote i z prośbą, aby mu go nigdy nie brakło. Rózia i tego nie umiała; któż to ją miał uczyć słów modlitwy? Ani ojca, ani matki, ani opiekuna żadnego — przyszła nie wiadomo skąd, pójdzie nie wiedzieć gdzie i do kogo — jak ten palec sama, włóczyła się od chaty do chaty, nie o pracę, lecz o jałmużnę prosząc. Bo i nie wiedziało niebożątko, że dla pracy Bóg ludzi stworzył. Czasem, gdy ją głód dobrze przycisnął a za darmo nikt chleba dać nie chciał, wzięła się do roboty, to drwa komu porąbała, to wiadro wody przyniosła. Ale żeby ją tak do kopania lub żęcia namówić, to nie. Chwyci niby za sierp lub za motykę raz, drugi potnie skibę trawy lub kilka krzaczków ziemniaków okopie, rzuci sierp, rzuci motykę i już jej nie ma. Jak ta sarna odleci z gromadką dzieci co po gościńcu biegają za bydłem, by je na pastwi-

sko zapędzić. A gdy już bydełko pasie się spokojnie i pastuszkowie wyskakują wesoło, albo pięści swych próbują, to ona z nimi. A na leszczynę za orzechami, chociażby na najwyższą, to ona pierwsza. Spadnie czy nie spadnie, to jej jedno. Obdarta zwykle biegała i brudna, bo jej nie było przypilnować komu. Dzieci wiejskie niechętnie bawiły się z cyganką, bo ta i do kościoła nie zaglądnie nigdy i do szkoły nie chodzi, więc starsi bali się o zły przykład dla dzieci i dzieciom zdaleka się trzymać od niej nakazywali.

Siadała wtedy na pagórku, chudemi ramionami objęła kolana i spoglądała markotnie na ochoczą gromadkę, a łzy spływały po ciemnem liczku jedna za drugą. Ale o smutku zapomniała rychło, gdy któremu z chłopaków udał się skok pocieszny. Wtedy wybuchała szalonym śmiechem, rękami szeroko wymachując — a gdy się rozpoczęła gonitwa na łące, już spokojnie usiedzieć nie mogła, tak była rada, chociaż ją do zabawy nie przypuszczano.

— Chybaj warciutko Antek, chybaj! — zachęcała, widząc, że Stach już co tylko Antka dopędzi. Chłopcy nie zważali na nią i dobrze się jeszcze skończyło, jeśli jej się od którego z nich pięścią nie dostało. Ot, zwyczajnie, dola sieroty — cyganki. Czasem, gdy jej źli chłopcy bardzo dokuczyli, znikała na dni kilka i udawała się do poblizkiego miasteczka — nazbierała kilkanaście miedziaków i do wsi wróciła. Przywiązała się już do tych chat biednych, często niegościnnych dla niej, do tych łąk i gajów zielonych i do strumyka szemrzącego, ukochała to wszystko, bo czuła, że przecież coś ukochać trzeba, a nie miała matki, tak jak inne dzieci, której się należy całe kochanie. I czekała niecierpliwie dnia jarmacznego, a gdy nadszedł, kupowała za uzbierane pieniadze czerwoną szmatkę na głowę, z żółtym szlakiem. Takie jej się najbardziej podobały. I nakładała ją na czarne włosy i z dumą do wsi wracała. Przez dni kilka już za chłopakami nie biegała bo ze starszymi przestawała; raz po raz zdejmowała chustkę z głowy, rozkładała na trawie i gładziła rękami, aby zmięte fałdy wyrównać. Ale wkrótce znudziła jej się chustka i dawała ją której z dziewcząt, za co jej ta placka kawałek z chałupy wyniosła. Placek zniknął prędko, bo Rózia głodną zawsze była, ale i chustka przepadła. Żal jej było jaskrawego gałganka i żądała zwrotu własności, ale napróżno. Rozgniewana podnosiła małą pięść i wygrażała się tej, która jej chustkę nosiła.

— Poczekaj! jak ja ci czego nie ukradnę!

Nie kradła jednak nigdy, chociaż ją o to we wsi posądzano. Więc zbierała na nową szmatkę, ale że rachować nie umiała, zaczepiała którego z gospodarzy, otwierała garść pełną miedziaków i pytała:

— A kielo to jest tego?

— Piętnaście centów — odpowiadał zapytany.

— Ja wiem, ale kielo to?

— Głupia! — odburknął zniecierpliwiony gospodarz i szedł dalej drogą, ale ona dążyła za nim.

— A dwóch szóstek to niema jeszcze?

— Niema. Idź głupia, a naucz się rachować, bo cię ludzie sprzedać mogą.

— A szóstka jest? — pytała natrętnie.

— Jest szóstka i pięć centów.

— A ile brakuje do dwóch szóstek?

— Pięć centów.

— To mi dajcie, bo mi trza na szmatkę.

— Juści, dam ci ale tem. — I podnosił sękaty kij dla postrachu.

Pewnego dnia markotna była i zapłakana. Długo błądziła po łąkach, zaszła do lasu na jagody, ale nic jej pocieszyć nie mogło. Zaszła tak popłakując przez las smerekowy, aż dopadła chałupy Leśniaka. Nigdy tam nie zachodziła, bo nie śmiała. Stary Leśniak świata dużo zwiedził, krzywdy nikomu nie zrobił żadnej, ale i do ludzi rzadko kiedy zagadał, tak i ludzie do niego nie bardzo się garnęli. Opowiadano, że od czasu, gdy w jednym roku stracił żonę i troje dziatek, taki smutek go chwycił, że ani zaśpiewa przy orce, ani sąsiada po ludzku pozdrowi. Więc i Rózia stanęła zdaleka przed zagrodą i patrzała, jak stary kapustę okopywał

— Jakbyście chcieli, to ja bym pokopała z wami — odezwała się cicho.

Stary spojrzał, na kopaczce się oparł i długo nie odpowiadał, ino bystro na dziewczynę spoglądał. Rózia przestraszona co rychlej resztki łez z twarzy i nos fartuchem obtarła i chciała odejść, ale stary zatrzymał ją.

— Nie bój się, czy ja to upiór jaki, czy co?

Rózia spojrzała śmielej. Żal jej się zrobiło starego, którego nie tyle wiek ile nieszczęście przygarbiło i włosy siwizną obsypało niby śniegiem. Podbiegła ku niemu, kopaczkę z rąk mu wyrwała, raz jeszcze oczy obtarła rękawem i jęła kopać gorliwie.

— O, jak tylko chcę, to umię kopać

i plewić i żąć — chwaliła się, ale stary nie na kopanie ale na zapłakaną twarz jej patrzał.

— A czegoś ty płakała? Możeś głodna?

Jej żal wezbrał na nowo, słowa już wykrztusić nie mogła, łzy na nowo zrosiły ciemne liczko. Kopaczkę odrzuciła, podniosła obstrzępioną sukienczynę i ukazała kolano, na którem widne były sine pręgi.

— Patrzcie, to ten góral, co mieszka wedle Walkowej chałupy, zbił mnie cepami.

— A cóżeś ty mu zrobiła, że cię tak zmordował?

— A cobym mu miała zrobić? Kupiłam se na odpuście św. Annę a on wziął mi ją, bo mówił, żem ją ukradła. Ale ja mu dam! — Zawoła, wygrażając pięścią w stronę wioski.

— A możeś ty i doprawdy ukradła?

— A widzieliście? To czegóż gadacie? — I rozgniewana chciała uciekać, ale ją Leśniak za rękę przytrzymał.

— Nie uciekaj! Przecież ja cię nie posądzam, ino cię pytam.

— Nie ukradłam. Na Pana Boga wam przysięgam, żem nie ukradła. Co moje, to moje, ale co czyje, to czyje. Ja nie taka.

— Wierzę ci, wierzę Róziu. — I pogładził potargane jej włosy drżącą ręką.

— Wyście bardzo dobrzy gospodarzu — ja tu jutro przyjdę i w robocie wam pomogę, ale teraz już iść muszę.

— A gdzież ci tak spieszno?

— Muszę iść do piekarza. Widzicie — mówiła odwiązując węzełek brudnej szmaty, uskładałam se dwa centy, jeden oddam za bułkę, co mi wczoraj piekarz dał na burg — on się ta nie boi o niego, bo wie, że mu oddam, a za drugi kupię chleba, bom od wczoraj nic nie jadła.

— To czekajże, nie odchodź, chleba ci dam, mam go dość. Starczyło go dawniej dla czworga. — Westchnął stary aż litość brała.

— To dawajcie kiedyście tacy dobrzy, ale piekarzowi tego centa, com mu winna oddać muszę.

Stary wyniósł sporą kromkę czarnego chleba, a ona uradowana podziękowała i odbiegła, w garści chleb ściskając.

(Dokończenie nastąpi).

ROK 1846.

»Syn zabił ojca, brat zabił brata,
»Wielu Kainów jest pośród nas...
»Ale, o Panie! oni niewinni,
»Choć przeszłość naszą cofnęli wstecz...

Ujejski.

Smutną i krwawą jest historya porozbiorowa naszego narodu, każda jej karta znaczona łzami i bólem najlepszych synów ojczyzny, najdzielniejsze siły wyczerpują się bezowocnie, giną marnie w więzieniach lub wśród śniegów Sybiru — naród zrywa się wielokrotnie do walki o niepodległość i za każdym razem w cięższe, twardsze popada jarzmo, zacieśnia jeszcze sploty kajdan, wżerające się boleśnie w jego ciało, tamujące rozwój myśli, tłumiące porywy uczuć gorących i szczerych. Jest w tych dziejach porozbiorowych nieprzebrana moc bohaterstwa i poświęcenia, ale jest też karta znaczona pożogą i mordem, krwawa, smutna karta z roku 1846. To rzeź galicyjska. Lud wiejski porwał się na dziedziców swoich, na szlachtę polską w chwili, gdy w Krakowie wybuchło powstanie, którego przywódcy wszystkim nieść chcieli wolność i dobrobyt, budować nową Polskę demokratyczną, ludową, na równości opartą, Polskę sprawiedliwą dla swych wszystkich dzieci, w którejby lud właśnie, jako warstwa najliczniejsza, główne zajmował miejsce. Powstańcy liczyli na chłopów, liczyli, że na głos ich porwą się oni do walki za ojczyznę i wolność, że zdołają poruszyć masy ludowe, poprowadzić je do zwycięstw nad rządami zaborców. I porwał się lud do nożów, ale przeciw tym właśnie, którzy mu nieśli zbawienie, porwał się na szlachtę — popłynęła krew bratnia, upadł ruch powstańczy i ostatnia wolna piędź polskiej ziemi, rzeczpospolita krakowska, do państwa austryackiego wcieloną została.

Gdy potem przyszło upamiętanie, gdy pod wpływem kazań misyjnych lud żałował i pokutował za popełnione winy, gdy pytano chłopów, dlaczego dopuścili się zbrodni, odpowiadał niejeden: »sam nie wiem, co mi się stało«, albo: »tyle lat człowiek przeżył, nikomu żadnej krzywdy nie uczynił, a teraz przed śmiercią takiemi zbrodniami trzeba mi było obciążyć sumienie«. »Oj, mówili drudzy, toż to my nieraz na przednówku z głodu umierali, a niech nam pokażą, kiedyśmy pańskie stodoły rabowali«. Inni, zapytywani o pobudki swych krwawych czynów, odpowiadali: »Ja nie wiem, ale żeby mi kazano było ojca własnego zabić, byłbym to uczynił«.

Bo też lud galicyjski w tym strasznym wypadku był tylko ślepem narzędziem, nie rozumiał, nie wiedział, co czyni. Chłop ciemnym był, nędznym, cała przeszłość dziejowa wykopała przepaść między ludem a szlachtą, między panem a poddanym, między dziedzicem ze dworu a wieśniakiem, w zapadłej mieszkającym chacie. Chłop nie rozumiał wcale, co to jest Polska, co ojczyzna, co rządy zaborcze — dla niego świat kończył się za wioską rodzinną, dziedzic był jego panem i sędzią jedynym, jemu płacił daniny, odrabiał pańszczyznę, jego ulegał przewadze. Na tle tych stosunków nie trudno było o wzajemną niechęć, nieufność, zazdrość. Korzystały z tego rządy zaborcze, które podzieliły się Polską podczas rozbiorów, korzystał ówczesny rząd austryacki, który dążył do zatarcia w Polakach wspomnień ojczyzny i wolności, narzucić im chciał język niemiecki, wynarodowić i zgnębić. Rząd ten wiedział, że gdyby cały naród polski zgodnie trzymał się ze sobą i wspólnemi siłami bronił swej zagrożonej narodowości, to onby nigdy celu swego nie dopiął. Dlatego też umyślnie starał się waśnić między sobą różne stany, siał nieufność między chłopem a szlachcicem, urzędnicy budzili wzajemną zawiść w społeczeństwie, wystawiali ludowi, że panowie są jego wrogami, że radziby przywrócić poddaństwo, zniesione przez cesarza, nałożyć na lud jeszcze większe daniny i ciężary. Chłop słuchał podszeptów urzędników, ciemny był, nieświadomy, wierzył im więc na ślepo i tak dojrzewało ziarno nienawiści, które w roku 1846 krwawe wydało owoce.

Myśl wywołania w ziemiach polskich powstania przeciwko rządom zaborczym, przeciwko Rosyi, Austryi i Prusom zrodziła się na emigracyi wśród Polaków, którzy prześladowani opuszczać musieli kraj i tułać się na obczyźnie. Założyli oni w r. 1832 »Towarzystwo demokratyczne«, które miało dążyć do zdobycia niepodległości, zyskania dla sprawy ludu wiejskiego przez nadanie mu na własność uprawianej ziemi i wszelkich praw obywatelskich. Powstańcy z 1846 r. szczerze kochali lud, pragnęli jego dobra, ale go niestety nie znali, nie umieli trafić do serca i umysłu chłopa, pozyskać zaufanie, nie przeczuwali, że jednocześnie i urzędnicy austryaccy prowadzą swą niecną robotę, że w karczmach i urzędach podburzają lud, straszą go widmem poddaństwa i nowych ciężarów.

Powstanie źle było przygotowane, brakło mu sił, ludzi, broni, pieniędzy, to też w samym zarodku przez wrogów zostało stłumione. Wybuchło ono w Krakowie dnia 20 lutego, głosząc niepodległość Polski, lecz jednocześnie poruszył się lud, namawiany przez urzędników, a rząd przewidując powstanie szlachty polskiej, stłumił je ręką polskiego chłopa...

Ruchy ludowe rozpoczęły się w Galicyi zachodniej, w obwodzie tarnowskim, gdzie Jakób Szela, chłop ze Smarzowy, wypuszczony przez starostę z kryminału, w nadziei sutej nagrody, podburzył chłopów i poprowadził ich na szlachtę, gotującą się do powstania. Okropne działy się rzeczy: bezbronnych zabijano cepami, z konających wyciągano wnętrzności, miażdżono głowy, skórę zdejmowano z czaszek, nie oszczędzając kobiet ni dzieci. Chłopi rzucali się na dwory, niszczyli sprzęty, kradli pieniądze i klejnoty. Parę tysięcy osób zginęło z ich ręki śmiercią okrutną. Powstańcy ratować chcieli zagrożoną szlachtę, ale zostali pobici przez wojsko austryackie, a podpułkownik Benedek sam zachęcał chłopów do rzezi, obiecując za głowę każdego powstańca centnar soli i pieniądze. Kraków dostał się niebawem w ręce państw zaborczych, wolna rzeczpospolita istnieć przestała. Powstanie upadło, mszcząc się na jego uczestnikach, rząd austryacki sprawców rzezi galicyjskiej wynagradzał orderami i pieniądzmi, patryotów zaś polskich dręczył w więzieniach, gnębił i prześladował.

Takim był w dziejach naszych ów smutnej pamięci rok 1846. Ciemny chłop, podburzony ręką obcego rządu, stał się mordercą tych, co wolność nieść mu pragnęli — Galicya przedstawiała straszny obraz zgliszcz i ruin, potomności zaś ta pozostała nauka, że jeżeli dla ludu chce się rzeczywiście pracować, to przedewszystkiem należy lud ten znać i oświecać, by nie szedł nieświadomie na lep wrogów naszych. Przez oświatę jedyna droga do wolności...

Helena Witkowska.

Prześladowanie dzieci polskich
na Górnym Ślązku.

Z dnia na dzień, w miarę, jak się polskość tam rozwija, dzieci rodziców polskich na straszne narażone są prześladowania. Ponieważ nadchodzą wybory do parlamentu niemieckiego, a ludność polska będzie z pewnością głosowała na posłów Polaków, a nie jak dotychczas bywało, na katolickich Niem-



Rysował Artur Grottger.

Konfederaci barscy przed bitwą pod Lanckoroną z Moskalami.

ców, podpytują już teraz nauczyciele w szkołach, czy dzieci nie słyszały, co ich rodzice w domu mówią o wyborach. To żądanie, aby dziecko podsłuchiwało rozmowę rodziców, a następnie zdradzało ją przed nauczycielem, który to donosi do władzy, jest tak podłe, że do podłości takiej zdolny jest jedynie Prusak. Prawie wierzyć się temu nie chce, a jednak rzeczy podobne dzieją się w mieście Gliwicach na Slązku.

W tem samem mieście żalił się pewien nauczyciel na terminie w sądzie, gdzie występował niby to jako świadek, że w ostatnim czasie dzieci rodziców polskich coraz to mniej chętnie uczą się po niemiecku i choć ten język im znany, nie odpowiadają nauczycielowi, zastawiając się tem, że pytania jego nie rozumiały. Tenże sam kulturnik chełpił się przy tej sposobności, że jednemu z polskich dzieci zabrał i zniszczył polski elementarz, który dziecko to przez nieuwagę zabrało ze sobą do szkoły. Naturalnie, że łajdak taki dostanie od rządu nagrodę we formie gotówki, albo lepszej posady.

Nawet i nauka religii wykładaną jest dzieciom tamtejszym po niemiecku, co dzieje się dla nich z ogromną szkodą. Dzieci te powtarzają prawdy wiary bez zrozumienia — o cnocie, moralności nie mają pojęcia, jeżeli się w domu rodzice niemi nie zajmują i ztąd wielkie zdziczenie pomiędzy młodzieżą.

Istnieje wprawdzie prawo, że dzieciom polskim, na wyraźne żądanie ich rodziców, udzielona powinna być przygotowawcza nauka religii przed przystąpieniem do Sakramentów św. w języku ojczystym. Nauka ta odbywa się poza godzinami szkolnemi, a udziela jej ksiądz, władający dostatecznie językiem polskim. Zdawałoby się, że tu przynajmniej są dzieci swobodne i nieprześladowane za świętą ojców mowę.

A jednak dzieje się inaczej. Otóż najpierw nauczyciele po szkołach namawiają dzieci polskie, aby chodziły na naukę religii, udzielanej po niemiecku, bo niemczyzna to „fajniejsza" rzecz i bo, gdy zostaną Niemcami, to będzie im w życiu lepiej i nie będą potrzebowały pracować tak ciężko, jak ich ojciec, Polak, pracuje.

Następnie i z małymi wyjątkami proboszcze, tutaj nazywani „farosze", wpływają na polskie dzieci, aby poprzechodziły do oddziału niemieckiego. A i sposób wykładania religii odbywa się inaczej wobec dzieci polskich a niemieckich.

Niemczakom uchodzi bezkarnie lenistwo i nieposłuszeństwo — dzieci polskie, chociaż o wiele karniejsze, bywają bite po twarzy i lżone przy lada sposobności.

We wsi Przyszowicach, niedaleko Gliwic, zaszło niedawno temu zdarzenie tak barbarzyńskie, jak barbarzyńskiem jest całe zachowanie się Prusaków.

Otóż dzieci, uczęszczające na polską naukę religii, witały zawsze wchodzącego księdza pięknem, nabożnem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony!" Zdarzyło się, że z przyczyny nagłego wyjazdu księdza do chorego, miał go zastąpić nauczyciel. Dzieci polskie wchodzącego z polską nauką nauczyciela powitały także polskiem, Bożem pozdrowieniem. Powitanie takie było jedynie naturalnem, ale posłuchajcie, co się dzieje. Otóż nauczyciel, spodlony syn polskich rodziców, nakazuje jednemu po drugiem z dzieci występować z ławki i każdemu z nich wymierza po 4 uderzenia na rękę. Kara nastąpiła za to, że polskie dzieci, na polskiej nauce religii, nauczyciela, który im jej miał udzielać po polsku, nie pozdrowiły urzędowo, to jest, po niemiecku.

I wobec takiego postępowania, dzieci zacinają się w sobie, poczynają gardzić nauczycielami i coraz to gorliwiej uczą się w domu po polsku. Do niedawna młode pokolenie szło nam na marne wobec strasznego ucisku w szkole; teraz dzieci czują się polskiemi i nienawidzą niemczyzny. W każdej polskiej rodzinie uczą się dzieci czytać i pisać po polsku, każdy światlejszy robotnik ma dzisiaj w domu swym biblioteczkę, składającą się z doborowych i pouczających dziełek polskich. Młodzież starsza, zastraszona tem, że się tak mało przez ośm lat nauczyła w szkole, garnie się do nauki i to do nauki ojczystej.

Młody Ślązak stara się poznać dzieje ojczyste, a poznawszy, kocha Polskę całą ducha potęgą. W ostatnim czasie i dziewczęta, które opuściły szkołę, gromadzą się, naradzają, pożyczają lub kupują sobie książki polskie, a co najważniejsze, palą używane dotychczas przez siebie niemieckie książki do nabożeństwa. Młode pokolenie poczyna się na Górnym Ślązku odniemczać i to na całej linii, a prądu tego nie wstrzyma już żadna siła.

Alkohol — wróg ludu.

(Dokończenie).

Pijaństwo i rozwody.

Nic dziwnego, że alkohol, ten wróg rodzinnego życia, staje się wielekroć przyczyną rozwodów. Pijaństwo męża bywa częstszym ich powodem, niż pijaństwo żony, ponieważ kobiety wogóle mniej piją.

Tak samo pijaństwo staje się najczęściej powodem, dla którego sądy odbierają rodzicom władzę nad dziećmi. Alkohol powiększa liczbę dzieci nieślubnych. Te biedne istoty karze społeczeństwo za winy rodziców.

Stwierdzono, że najwięcej dzieci nieślubnych przychodzi na świat w 9 miesięcy po karnawale, podczas którego rodzice ich bawili się zbyt dobrze. Na jarmarkach i odpustach ludność pije zapamiętale. W 9 miesięcy po takim jarmarku rodzi się więcej nieślubnych dzieci, niż przez cały rok poza tem. Nie są to dzieci miłości, ale owoce gwałtu lub lekkomyślnych uścisków. Nie miłość złączyła rodziców ale pijaństwo rzuciło ich bezwstydnie ku sobie.

Potomstwo alkoholików.

Gdybyż przynajmniej w chwilach niepoczytalności dawać można było życie zdrowym, i silnym dzieciom! Ale sprzeciwiałoby się to prawom przyrody.

Zwierzęta i ludzie przekazują następcom dobre i złe właściwości swego organizmu. Zdrowie, wzrost, piękność jednego lub obojga rodziców przechodzą na dzieci. Tak samo na dzieci przenoszą się choroby lub nałogi rodziców. Prawo to zowie się dziedzicznością i jest powszechnem prawem przyrody, mocą którego czyny nasze i życie wywierają wpływ na zdrowie, rozum i siły naszych dzieci.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni, mówi mądre przysłowie. A dzieci przez dziedziczność i wychowanie podobne są do rodziców.

Alkolizm więcej niż inne właściwości przekazuje się następcom

Uczeni twierdzą, że niemal wszyscy pijacy pochodzą z rodzin pijackich. Pijak nałogowy przynosi tedy na świat usposobienie, które wśród ogólnego nadużycia alkoholu rozwinąć się musi.

Matka, patrząc na dziecko z wodą w głowie lub tańcem św. Wita, suszy sobie głowę, co może być przyczyną nieszczęścia. Kumoszki przypuszczają, że przestraszyła się, że ją ktoś urzekł lub zając przeleciał przez drogę. Tymczasem przyczyną jest ojciec, który piwem, winem i wódką pokrzepiał się i rozweselał. Tylko zdrowi rodzice mogą mieć zdrowe dzieci, alkoholik zaś zdrowym być nie może.

To też dzieci alkoholików przychodzą na świat nieżywe lub umierają wnet po urodzeniu. O ile zaś pozostaną przy życiu, rzadko kiedy są zdrowe i moralne. Alkoholicy rodzą idyotów, epileptyków, obłąkanych, głuchoniemych i wogóle ludzi chorych.

Używanie alkoholu jest przyczyną, że kobiety nie mają pokarmu dla własnych dzieci. Skoro zaś kobieta raz utraci możność karmienia piersią, nie odzyskują jej następne pokolenia, to jest ani córka, ani wnuczka. A przecież mleko matki jest naturalnym i najzdrowszym pokarmem dla dzieci. Alkoholizm rodziców odbija się też na zdolnościach i ogólnym rozwoju umysłu u dzieci. Przeszło połowa dzieci niezdolnych, t. zw. głupich, miała ojca pijaka lub matkę alkoholiczkę.

Alkoholizm rodzicow zatem mści się na dzieciach już od chwili przyjścia ich na świat. Do tego przyłącza się zły przykład dawania trunków od małego, zwykle brak dozoru i złe wychowanie. Cóż dziwnego, że synowie pijaków wyrastają na zbrodniarzy, a córki stają się nierządnicami?

Szkodliwość alkoholu dla dzieci.

O ile dziecko przyszło na świat z ojca alkoholika i przypadkowo jest zdrowem, strzedz je należy od każdej kropli alkoholu. Wogóle zaś alkohol, który jest dla dorosłych ludzi trucizną, jeszcze zgubniejszym być musi dla wrażliwego organizmu dzieci.

Uczeni stwierdzili, że najmniejsze ilości alkoholu szkodzą dzieciom. Obowiązkiem rodziców jest ustrzedz dzieci swoje od tej trucizny, której smaku znać nie powinny. Ponieważ z alkoholem ciągle się będą spotykały, mają rodzice obowiązek pouczyć je o zgubnym wpływie trunków.

Niestety w życiu dzieje się inaczej: większość rodziców przyzwyczaja dzieci swoje do trunków. Widząc codzień na stole butelkę, dzieci nie mogą wyobrazić sobie, aby bez alkoholu żyć można.

Zwyrodnienie społeczeństwa.

W taki sposób klęska alkoholizmu przechodzi z jednego pokolenia na następne. Znać ją na zdrowiu i życiu narodów, które wyradzają się pod wpływem dzisiejszego nadużycia

wania trunków. Albo rodzi się mniej dzieci, albo też dzieci te są fizycznie słabe, podlegają chorobom, kalectwu, wreszcie wymierają.

Tak samo dowodem zwyrodnienia jest nieudolność do służby wojskowej, przy której wymagają od rekrutów zdrowia, dobrze rozwiniętych płuc, ostrego wzroku i słuchu i pewnej miary wzrostu. Jeżeli więc w jakiemś państwie wzrasta liczba niezdolnych do służby wojskowej, którą wykonywać muszą ludzie klas wszystkich, znaczy to, że młode pokolenie słabszem jest fizycznie od starszego, że naród upada. Alkoholizm stanowi jedną z przyczyn wielkiej liczby niezdolnych do wojska w krajach austryackich. Liczba odrzuconych wzrastała w ostatnich latach, przyczyną jej był wzrost pijaństwa.

Samobójstwa i zgony.

Alkohol — wróg zdrowego i bujnego życia — szerzy śmierć, nietylko zniszczenie. Stwierdzono, że pijaństwo było przyczyną wielu samobójstw, przedwczesnych śmierci i chorób, które śmiercią kończyć się musiały.

Dobrowolne pozbawianie się życia jest zwykle wynikiem różnorodnych przyczyn. Świadczy przecież zawsze, że samobójca nie miał odwagi do życia, że stało mu się ono ciężarem. Alkohol pozbawia człowieka zdrowia i umiejętności do pracy, doprowadza do ruiny jego samego i rodzinę. Cóż dziwnego, że w momentach trzeźwości pijak, widząc swój upadek i nie czując siły do poprawy, odbiera sobie życie?

Wśród kobiet znajduje się pięć razy mniej samobójczyń, niż wśród mężczyzn. Ulegają one jak wiadomo, znacznie mniej namiętności pijaństwa Rzadkiemi są również samobójstwa żydów, wśród których pijaństwo mniej jest rozpowszechnionem.

Ogromną danine składają śmierci osoby, zajęte przy wyrobie i sprzedaży alkoholu: szynkarze, restauratorzy, kelnerzy i kelnerki, piwowarzy i gorzelnicy. Najczęściej umierają oni na choroby serca i wątroby, spowodowane nadmiernem piciem.

Jeżeli nadużycie alkoholu doprowadza od tak nadmiernej śmiertelności, to wszelkie użycie alkoholu, nawet mierne, skracać musi żywot.

Czy można żyć bez alkoholu?

Śmierć, samobójstwa, choroby, zbrodnie, prostytucya, zubożenie, dzieci skazane od urodzenia na zagładę, kalectwo lub opilstwo, zwyrodnienie całych narodów; wreszcie jako zło najgorsze, najmniej uchwytne, podkopanie ogólnego zdrowia, upodlenie duszy i zubożenie umysłu.

Wszystko to codzień i co godzina we wszystkich krajach na kuli ziemskiej popełnia alkohol, trucizna najniebezpieczniejsza, bo podstępna i rozpowszechniona najbardziej. A przecież trucizna ta uchodzi za niezbędną część naszego pożywienia. Nie możemy sobie wprost wyobrazić dzisiejszego życia bez trunków i karczem. Nie jeden radby się wyrzec alkoholu, ale przekonany jest, że to złe jest konieczne, że przy ciężkiej pracy fizycznej, przy wysiłkach umysłowych, przy niedostatecznem odżywianiu jest niezbędnym dodatkiem.

Fakta mówią inaczej: Już przed tem mówiło się, że alkohol nawet w najmniejszej ilości nietylko w wódce, ale w winie i w piwie opóźnia i zaciemnia działalność mózgu. Przeszkadza zatem w pracy umysłowej. Wiemy również, że czyni dzieci niezdolnemi do zwykłej nawet nauki, że wielkie pomysły i szlachetne idee tylko na trzeźwo mogą powstawać.

To samo da się powiedzieć o wysiłkach fizycznych. — Alkohol nie wzmacnia i nie dodaje sił. Alkohol nie czyni jedzenia zdrowem, ani łatwem do strawienia, pożywnym nie jest, rozgrzewa tylko na chwilę, potem zaś oziębia temperaturę ciała. Ciężkiej pracy alkohol szkodzi, nie pomaga, powiada uczony Kraepelin. Właśnie robotnik i włościanin, którzy na utrzymanie zarabiają przez wysiłek rąk swoich, przez używanie alkoholu, rujnują całkowicie swoje siły i organizm.

Przy ciężkiej pracy najlepszymi robotnikami są ci, którzy nie używaję żadnych trunków. W niektórych fabrykach żelaznych alkohol jest zupełnie wzbroniony, bo nie pijący łatwiej znoszą gorąco.

Okazało się, że największą pomocą przy pracy ciężkiej, odpowiedzialnej, niebezpiecznej i wymagającej całego natężenia uwagi, jaką jest praca kolejowa, jest zupełne powstrzymanie się od wszelkich trunków.

Bez alkoholu zatem spełniać można najtrudniejsze prace umysłowe i fizyczne. Co więcej — do każdej poważnej czynności alkohol przyjmowany nawet w niewielkich ilościach, przeszkadza. Nadużycia uniemożliwiają każde stałe zajęcie.

Przed siewami.

Wcześnie w tym roku przyszło rolnikowi ruszyć się z zimowego spoczynku. Na lżejszych ziemiach rozpoczęto orkę już dosyć dawno. Nie dziwić się, gdy rolnik co tchu się zabiera do pracy. gdyż zaskoczony wczesnym mrozem na jesień zeszłego roku, nie mało ma do doganiania teraz. — Wczesny siew zawsze bywa pewniejszym tak przy siewach jarych jak ozimych, a znane nam jest przysłowie, że „kto sieje groch w marcu, ten go sprząta w garncu; kto sieje w maju, ten go sprząta w jaju“. Nie radzilibyśmy jednakże kierować się wedle jakichś przypowieści i zdań utartych, tylko postępować stósownie do stanu powietrza, oraz wedle przepisów nauki i doświadczeń wybitnych rolników praktycznych.

Otóż nie można dawać reguł, wedle których należałoby postępować rokrocznie jednakowo. Gdy w jednym roku śmiało można siać groch w końcu marca, w drugim roku zaledwie da się to zrobić około połowy kwietnia. Rola powinna dostatecznie obeschnąć, zanim się rozpocznie robotę, czy to broną lub pługiem. Nic po takiej robocie, gdy rola się maże i zlepia; w tym razie byłoby więcej straty niż korzyści z pewnością. Dalej powinniśmy wiedzieć, że ziarno może kiełkować dopiero przy pewnem ogrzaniu się ziemi. W zimnej glebie leży ono martwe, a leżąc tak czas dłuższy, zatraca cokolwiek na sile kiełkowania, bywa także narażonem na uszkodzenie przez robactwo i ptaki.

Co prawda, można bronowanie bardzo wcześnie nieraz rozpocząć. Wprawne oko rolnika najlepiej oceni, które pole jest o tyle obeschłe, że z broną na nie wjechać można. Chodzi tutaj o otworzenie powierzchni dla powietrza i ciepła, czynników działających tak dobroczynnie, wpływających w wysokim stopniu na wytworzenie stanu roli pożądanego, jakim jest „wydobrzenie roli“. Dalej chodzi o pobudzenie nasion chwastów do kiełkowania, które skutecznie niszczy następna brona, użyta przed lub w czasie zasiewu. Wiedzmy o tem, że chwasty, owe nieubłagane wrogi roślin uprawnych, mogące zniweczyć mozolną pracę rolnika, dają się wytępić skutecznie jedynie za pomocą prawidłowej uprawy. Chwasty spoczywają w każdej warstwie ziemi rodzajnej, przy każdej orce głębszej lub miałkiej lub tylko wzruszeniu ziemi, wydobywa się ich nasienie na wierzch. Pobudzone do kiełkowania i w tym stanie niszczone przed siewem zboża, nie będą temu przeszkadzały. Chwast posiada większą siłę żywotną niż zboże uprawne. Wyrastając ze zbożem bez stawiania mu przeszkód, zagłuszy to zboże z pewnością W nowszym czasie używaną bywa do gładzenia orki zimowej tak zwana włóka, która na ten cel ma być skuteczniejszą od brony, można nią też więcej zrobić aniżeli broną.

Orkę pod zasiewy wiosenne wykonywać trzeba przed zimą. Orka wiosenna jest zupełnie zbyteczną, lecz nie tylko to, ale jest ona szkodliwą, albowiem wysusza rolę i wydobywa chwasty z głębszych warstw na powierzchnię. Z powodu wczesnych mrozów w ubiegłej jesieni nie zdołano niemal ogólnie zorać pól przed zimą. Jak tu sobie postąpić? Pod ziemniaki trzeba zorać koniecznie, bo ziemniak wymaga dobrze spulchnionej roli, miałkie wzruszenie ziemi nie może wystarczyć. Tak samo ma się rzecz z uprawą pod buraki i różne warzywa. Natomiast pod zasiewy jare, jak jęczmień, owies, mieszanki itd., które zwykle przychodzą po okopowych, nie potrzeba koniecznie teraz orać; wystarczy ziemniaczysko lub buraczysko zbronować, pozbierać łęty i pozostawić rolę do czasu zasiewu.

Trudno prawie przypuszczać, aby znaleźli się tacy rolnicy, którzy ziarna do siewu nie używają w wyborowej jakości „Jaki siew, taki plon“, wyczytywali Czytelnicy w naszej gazetce często, dlatego sądzimy, że każdy z nich postara się o to, aby wrzucił w ziemię ziarno najlepsze.

W jaki sposób zasiew uskutecznić? Otóż rozróżniamy 3 sposoby zasiewu, t. j. siew ręką, maszyną szerokorzutną i siew drylownikiem. Jedynie polecenia godnym jest siew rzędowy drylem. Maszyny szerokorzutnej nabywać nie warto, bo w czem się różni siew taką maszyną uskuteczniony, od siewu wprawną ręką siewcy? Zapewne prawie żadna nie zachodzi różnica. Natomiast siew drylem różni się bardzo od siewu rzutem. Korzyści siewu rzędowego są bowiem następujące:

1) Ilość wysiewu dowolnie można uregulować.

2) Ziarno rozdziela się w roli równomiernie.

3) Ziarno zostaje umieszczone równo głęboko.

4) Oszczędność w wysiewie jest bardzo znaczną.

5) Ziarno wschodzi równo.

6) Zboże tak łatwo nie wylega.

7) Sprzęty bywają większe, ziarno pełniejsze, dorodniejsze.

ROZMAITOŚCI.

Gliwice. Szanowna Redakcya *Przodownicy* w Krakowie! Ośmielona nawoływaniem w ostatnich numerach *Przodownicy* do skreślenia naszych użaleń, chwytam za pióro, aby opisać cud mojego odrodzenia narodowego. Z początku, jakeśmy się pobrali, mąż mój, gdy przychodził z pracy, czytywał gazetę, tom się gniewała bardzo i robiłam mu wyrzuty, że pieniądze nadarmo wyrzuca, nie wiedziałam bowiem, jakie korzyści można z czytania gazet osiągnąć. Lecz jakoż mogłam wiedzieć, gdy ze szkoły żadnej nauki nie wyniosłam, w domu nic a nic o takich rzeczach nie wiedziano, a dopiero przy paszeniu krów nauczyłam się po polsku czytać. Gdy w szkole nauczyciel o co mnie pytał, tom patrzyła jakby wół na nowe wrota, nie rozumiejąc go, jako że po niemiecku gadał. Potem, gdy mi Pan Bóg dał dzieci, a mąż chciał im dać polskie imiona, tom się też sprzeczała a osobliwie, gdym urodziła chłopca, a mąż mu dał Tadeusz na imię, tom się nie mogła uspokoić.

Aż tu naraz przychodzą wieści o dzieciach wrzesińskich, które były za to karane srogo, że nie chciały się uczyć religii po niemiecku, a ja się męża pytam, czy to jeszcze uczą gdzie w szkole po polsku, jako myślałam, że wszędzie uczą tylko po niemiecku. — Takem se to wzięła do serca, bo mi się moje szkolne czasy przypomniały, jakem się musiała dławić niemczyzną.

Więc zaraz się chwyciłam elementarza, jak małe dziecko, chociaż miałam już 30 lat. Powiadałam sobie: com zaniedbała, to muszą moje dzieci dorobić, a osobliwie synalek — Tadeuszek; ale nie długo cieszyłam się nim, bo mi go Pan Bóg zabrał. Więc mój mąż widząc, żem niepocieszona po stracie małego, namówił mnie na wycieczkę do Krakowa, żebym trochę zapomniała — a ztamtąd do Zakopanego, dokąd sporo Ślązaków wtenczas jechało. Tam dopiero mi się oczy otwarły, gdy poznałam, jak nas kochają nasi rodacy, którzy nas tam jak swoich najbliższych przyjmowali grzecznie i dziś jeszcze mam w sercu te słowa, które wypowiedziała pani hrabina Zamojska do nas: „Kochani Górnoślązacy! my wiemy, żeście jako niewolnicy zakuci w kajdany, my wszystko wiemy z gazet, nie wiele wam możemy pomódz, chyba tylko Boga prosić będziemy, coby was wspierał w walce waszej z wrogiem“. Tam też dopiero nabyłam polskiego ducha, którego mi już teraz żaden szwab ani żaden kulturträger wydrzeć nie zdoła. — Teraz też mam większą ochotę do czytania i mam weselsze życie, bo wiem, czem jestem, to jest Polką.

I wiele razy jużem się rozpłakała, gdym to pojęła, co to jest język ojczysty, który nam i naszym małym chcą wydrzeć. Więc, matki górnoślązkie! proszę was, nie dajmy się! podajmy sobie ręce, pozwalajmy mężom trzymać gazety, należeć do polskich towarzystw, a gdy nie chcą, same nalegajmy na nich. Bądźmy na straży w domu naszym, nie dajmy się zagnieździć wrogiej niemczyźnie u nas. Szanujmy wszystko, co polskie, chociaż w szkole uczą nasze dziatki po niemiecku, to naszą powinnością jest uczyć je czytać, pisać i myśleć po polsku. Nie pozwalajmy naszym dziatkom w domu szwargotać po niemiecku.

Więc was jeszcze raz, matki górnoślązkie, proszę, nie przestawajcie na czytaniu gazet, lecz przeczytawszy nie rzucajcie je w kąt, tylko na nowo jeszcze raz czytajcie i w czyn wprowadzajcie to, co one radzą. Czuwajcie i czyńcie ile możecie dla naszej dobrej sprawy, bo na nas matkach przyszłość nasza spoczywa, bo gdy my polsko-katolickie matki zapomnimy o tem, to wtenczas wszystko dla nas przepadnie, a ciężka będzie nasza odpowiedzialność przed ludźmi i Bogiem! *Górnoślązaczka.*

Ojcze nasz!

Gdy podziwiam dzieła Twoje
Boże, całe serce moje,
Przejęte czcią wielbi Ciebie,
Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

Gdy duszę smutek rozrywa,
Lub z radości się rozpływa,
Hymn lub prośbę szlę do Ciebie,
Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

Kiedy łódką życia mego
Chwieje burza świata złego,
Ucieczka moja do Ciebie,
Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

Gdy samotny jestem w świecie
Jak to zabłąkane dziecię,
Czuję Ciebie koło siebie,
Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

Gdy przestąpię prawo Twoje,
Przez co splamię duszę moję,
Przebacz Panie, proszę Ciebie,
Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

A gdy kiedyś, wielki Boże,
Zalegnę śmiertelne łoże,
Niechaj w chwili zgonu mego,
Z serca mego stygnącego,
Tę modlitwę szlę do Ciebie,
Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

Jantek z Bugaja.

Wierszyk ten poświęca autor znakomitej pieśniarce polskiej, Maryi Konopnickiej.

Wielkie mrozy. U nas wystarcza kilkudniowy parustopniowy mróz, a już dają się zewsząd słyszeć narzekania na dokuczliwe zimno. A przecież do narzekania na zimno nie mamy powodu, gdyż klimat nasz jest bardzo umiarkowany, a o prawdziwem zimnie wielu z nas i pojęcia nie ma.

Gdy u nas kilkunastostopniowy mróz należy już do wyjątkowych wypadków, to istnieją okolice, gdzie całymi miesiącami bywa po 40 stopni i więcej, a przecież i tam żyją jeszcze ludzie. Powszechne mniemanie, że im dalej na północ, tem temperatura staje się niższą, a na krańcach ziemi najniższą — jest błędne, największe zimna bowiem panują w okolicach od biegunów bardzo oddalonych.

Najzimniejszem miejscem na kuli ziemskiej jest, według dotychczasowych spostrzeżeń, miasto Werchojańsk, położone w Syberyi. W mieście tem bywa w styczniu 53 stopni zimna, w lutym 46 zimna, w marcu 34 zimna, w kwietniu 15 zimna, w maju 0° zimna, w czerwcu 9 ciepła, w lipcu 13 ciepła, w sierpniu 6 ciepła, we wrześniu 1 zimna, w październiku 20 zimna, w listopadzie 40 zimna, w grudniu 49 zimna.

Czy wobec istnienia takiej ciepłoty, my, możemy użalać się na zimno?

Kwaszona kapusta tworzy podczas takiego zimna rodzaj kruszcu, który trzeba młotem rozwalać, masło wygląda jak kość słoniowa i możnaby śmiało rzeźbić z niego figurki, mięso podobne do czerwonego marmuru, oliwa staje się twardą, jak kamień, a nawet silny rum gęstnieje. Że przy tak wielkiem zimnie niebezpiecznem jest dotykać przedmiotów metalowych gołą ręką, rozumie się samo przez się.

Oddychanie takiem zimnem powietrzem sprawia kłucie w piersiach, a samo zimno, tysiączne niebezpieczeństwa. Śnieg nie skrzypi więcej, lecz wydaje jakiś tajemniczy dźwięk, jak gdyby igiełki jego były z metalu; wilgoć, zawarta w oddechu, zamienia się w jednej chwili w drobniutkie kryształki śniegu — a odzież okrywa się skorupą lodową. Zimno wyciąga z powietrza całą wilgoć, która w postaci drobniutkich igiełek, wciska się do oczów. Wśród takich mrozów, słychać ludzki głos na wielką odległość, zwyczajną rozmowę słychać na kilometr, a śpiew jeszcze dalej.

Handel dziewczętami odbywa się jawnie w okolicach Krakowa. Donoszą nam właśnie o wypadku, jaki zaszedł w Stanisławicach pod Bochnią. W ostatni piątek do karczmy tamtejszej przybył jakiś po miejsku ubrany jegomość, który zapytywał włościan o dziewczęta „do służby". Jeden z obecnych polecił zaraz swoją siostrę, młodą i bardzo przystojną dziewczynę. Ów jegomość natychmiast rozpoczął układy, częstował wszystkich hojnie wódką i piwem, następnie sprowadzili dziewczynę i wobec wójta, p. Kurdziela, brat oddał ją przybyszowi. Odwieziono ją wieczorem do Bochni, gdzie czekało na nią dwóch wspólników ajenta i wsadzono do pociągu pospiesznego, w stronę Krakowa. Ajent polecił wójtowi, aby książkę służbową dziewczyny odesłał do Bogumina; wójt książkę posłał pod adresem wskazanym, ale mu ją naturalnie zwrócono. Brat otrzymał za przehandlowanie siostry 10 koron.

Wypadek ten dowodzi, że szajka łotrów kręci się po wsiach i spełnia swe haniebne rzemiosło, korzystając z naiwności i ciemnoty ludu.

Skutki pijaństwa. Do czego doprowadza lud pijaństwo, do jakiego upadku fizycznego i moralnego, ilu zbrodni jest przyczyną, o tem świadczą najlepiej sale rozpraw w tutejszym sądzie karnym. Niedawno odbyła się znowu jedna rozprawa o zbrodnię, spełnioną wskutek pijaństwa. Jakób Jastrzębski, 39-letni rolnik w Przegini duchowej, po pijanemu pokłócił się z ojcem, napadł na niego, obalił na ziemię i znęcał się nad starcem, bijąc go zapamiętale pięścią po głowie i twarzy, oraz depcząc nogami. Według świadectwa lekarskiego, pobity ojciec odniósł obrażenie ciała w okolicy prawego oka i sińce na policzkach; wogóle poniósł okaleczenia, powodujące ciężkie uszkodzenie ciała. Z tego powodu prokuratorya państwa oskarżyła Jakóba Jastrzębskiego o tę zbrodnię. Obwiniony twierdzi, że był pijany i nic nie pamięta, że się rzucił na ojca; przypomina sobie tylko, że się z ojcem posprzeczał. Ojciec wstrzymał się od zeznań, nie chcąc obciążać własnego syna. Ponieważ ojciec był jedynym świadkiem i zeznań nie złożył, dlatego trybunał musiał uwolnić oskarżonego.

Trucizna w ludzkim pocie. Francuski uczony Arloing robił od dłuższego czasu doświadczenia z potem ludzkim. Zwierzęta są bardzo czułe na działanie potu ludzkiego, najczulszym okazał się pies, prawdopodobnie dlatego, że sam bardzo małą ilość potu wydziela. Jeżeli się psu trochę potu ludzkiego zaszczepi, to objawy zatrucia występują bardzo prędko; pies traci swą wesołość, oczy mu się łzawią, następują silne wymioty i kurcze mięśni. Ciepłota ciała opada, oddech staje się uciążliwym i zwierzę ginie.

Jadowitość potu ludzkiego jest rozmaitą, zależną od tego, czy pocimy się w czasie spoczynku, czy też podczas pracy. Po silnem natężeniu ciała zawiera pot znacznie więcej trucizny, niż w warunkach zwykłych. Pot, wywołany przez kąpiel parową lub t. p., zawiera najmniej trucizny. Zresztą jadowitość potu jest u różnych osób różną. Nawet u tego samego człowieka jest jadowitość potu, zależnie od pożywienia i stanu ciała, każdego dnia inną. Ogromne znaczenie wydzielania przez skórę dla zdrowia wynika z tego, że ilość potu, którą człowiek wydziela w ciągu 24 go-

dzin, gdyby została zatrzymaną w ciele, byłaby w stanie zatruć go.

Ile snu potrzebuje młodzież? Lekarze coraz bardziej domagają się więcej snu dla dziatwy i młodzieży. Dr. Cold tak się o tej sprawie wyraża: Tylko w wieku niemowlęcym dzieci mają zapewniony sen w dostatecznej ilości. Sypiają one tyle, ile chcą — a nawet rodzice zadowoleni są, gdy śpią jak najwięcej. Od 6 roku życia, t. j. od wstąpienia dzieci do szkoły, skraca się nagle sen o kilka godzin. W 10 do 12 roku życia sypiają dzieci już tylko 8 do 9 godzin, a potrzebowałyby 10 do 11 godzin. Zdaniem dra Colda, do 20 roku życia powinniby wszyscy spać 9 godzin, a nawet osoby dojrzałe od 25 do 30 roku życia, potrzebują 8 do 9 godzin snu. Gdy młodzież szkolna sypia zamało, nie może ani ciało ani mózg dostatecznie wypocząć, co odbija się niekorzystnie na zdrowiu. Chęć do pracy, przedsiębiorczość, uczucie zadowolenia, spokój umysłu, opuszczają dziecko, a natomiast pojawia się znużenie, znieczulenie nerwowe, albo też rozdrażnienie, a nawet zboczenie umysłowe.

Szybkość psów. Pewien angielski znawca psów utrzymuje, że psy są najszybszemi zwierzętami. Pies rasy angielskiej może bez zmęczenia godzinami biegać za powozem lub koniem wierzchowym swego pana. Tylko niektóre rodzaje straciły ten przymiot wskutek złej hodowli, zmarniały, albowiem nawet dzikie, przymiot ten posiadają. Wilk, należący do rodziny psów, może za jedną noc przebyć 80 do 100 klm. drogi, jeśli jest do tego zmuszony lub gdy szuka pożywienia. We Francyi, w okolicach gdzie jest jeszcze dosyć wilków, nikt nie jest w stanie dogonić starego wilka. Nadzwyczajną szybkością odznaczają się także północne lisy. Psy Eskimów i syberyjskie, podobne więcej niż nasze do wilków, odbywają po lodach drogę 75 klm. w ciągu 5 godzin. Podróżnik Hajs ujechał sankami zaprzężonemi w psy, 11 klm. w ciągu 28 minut. Nasze kundle i większa część psów gończych osięga szybkość 10 do 15 metrów na sekundę; angielskie wyżły biegną z szybkością 25 do 30 klm. na godzinę, a mogą biedz bez przerwy 3 do 4 godziny. Charty odznaczają się także nadzwyczajną szybkością i wytrwałością.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Przygodzice (Księstwo Poznańskie). Szanowna Redakcya *Przodownicy* w Krakowie! Zapytuję uprzejmie, gdzie się dostanie takie narzędzie do mielenia kości na proszek dla kur? Jakie kości się miele, palone, czy świeże? A ile kosztuje taka maszyna do kości?

Szan. Wojciechowa Srokowa, podług mego zdania, powinna świnie trzymać na prosięta (jeżeli takowe w innych stronach płacą). Jałówkę sprzedać i kupić krowę, 7 do 9 lat mającą, bo w tym wieku najwięcej daje mleka, a można też krowę zastąpić dobrą kozą, która znacznie mniej kosztuje, a daje 2 do 6 litrów mleka. Na roli sadzić ziemniaki, kapustę i owies albo jęczmień — w zbożu można posiać saradeli, aby mieć, gdy się zboże sprzątnie, paszę dla bydlęcia; zboże wymłócić, zostawić ładnego nasienia do siewu, a resztę kazać zemleć na słód i upaść tucznika. Ziemniaki sadzić wczesne i późniejsze, wczesne, gdy są odpowiednio duże, podebrać i co się da sprzedać, bo takowe zwykle dobrze płacą, a zwłaszcza blisko dużego miasta. Jeżeli ziemia mokra, sadzić ziemniaki w zagony, które są najpewniejsze i najlepiej rodzą, gdy zaczną wychodzić z ziemi, przyrzucić ile możności grubo ziemią; po przyrzuceniu można nad bruzdy zaflancować brukiew (karpiele) (ew. kwaki) w okolicy Biały mówią jak ostatnie — środkiem zagona sadzić co drugą radlinę fasolę niską albo bób; gdzie były ziemniaki, trzeba na przyszły rok siać zboże, a znów gdzie w tym roku zboże, mogą być ziemniaki. — W ogródku sadzić sałatę, ogórki, buraki i fasolę tyczkową szparagową, która jest bardzo dobra i w Krakowie dobrze za nią płacą. Gdy się porobi zagony w ogrodzie, to trzeba i bruzdy (ścieżki) użyć i to najlepiej co kawałek wykopać dołek, włożyć mierzwy, przysypać ziemią i zasadzić na to kapustę albo kalafiory. Niech też gosposia chowa kurki i kaczuszki, a gdy jest pastwisko, to gąski, kaczki, aby się dobrze pasły a nie kosztowały, dawać plewy parzone z prosa i gotowany bób.

W końcu radzę Szan. Rodaczce, aby ile możności sama z mężem w gospodarstwie pracowała, bo najemnik drogo kosztuje i zwykle zjada to wszystko, co obrobi w roli a czasem trzeba dołożyć — zatem pracować, póki gosposia młoda a będzie na pewno odpoczynek w późniejszym wieku. Niech gosposia nie zapomni, że trzeba też oszczędzać i prosić Boga o szczęście, a broń Boże pracować w dni świąteczne, jak byście chcieli w święta i niedziele robić to, co należy do dni w tygodniu, to na pewno się nie dorobicie. Tak my tu musimy postępować, jak opisałem — rąk nie ma czasu założyć, boby nas Niemcy swemi krzyżackiemi paszczami zjedli. Życzę więc Szan. Gosposi, aby się dorobiła i mogła być szczęśliwą w tem i przyszłem życiu.

Równocześnie z listem posyłam przedpłatę w ilości 1 marki i proszę uprzejmie Szan. Redakcyę *Przodownicy* o pożyczenie mi książki pszczelniczej, takową po przeczytaniu z podziękowaniem odeszlę. Pozdrawiam Szan. Redakcyę uniżony *L. Starczewski,*

Szan. Stanisławowi K. odpowiadamy po porozumieniu się z doktorem, co następuje:

N a j u ż w y t w o r z o n y i s t a r s z y c z e r a k aby prędzej zebrał, należy robić okłady gorące co kwadrans z papki, umieszczonej w szmatce, a papkę

przygotowje się tak: Do otrąb z siemienia lnianego (z apteki za 10 ct.) dodaje się tyle wody zimnej, aby wytworzyła się gęsta braja, którą należy zagrzać mocno na blasze i we wspomniany sposób używać.

Przydarzają się czeraki bardzo zaległe i bardzo głębokie, które sposobem, wyżej opisanym, do obrania doprowadzić nie można — wtedy należy je przeciąć, co naturalnie tylko lekarz wykonać może.

Jak postępować, żeby się czeraki nowe nie wytwarzały? Niekiedy właściwość skóry jest taka, że robią się na niej a raczej w niej czeraki i tu chorego przed powtórzeniem się uchronić nie można. Innym razem nieczyste utrzymywanie skóry (brud) sprzyja powstawaniu czeraków. Trzeba w takim razie zalecić kąpiele letnie, ale nie zimne, które skórę drażnią i przyczyniają się tym sposobem pośrednio do wytworzenia czeraków. Innym znów razem przyczyną jest choroba organiczna, jak cukrzyca lub przewłoczne zapalenie nerek, które to choroby w takim wypadku leczyć należy. Wypada z tego, że przy uporczywem tworzeniu się nowych czeraków przez czas dłuższy, trzeba dokładnie zbadać cały organizm, to znaczy, udać się do lekarza o poradę. — Czeraki nie są zaraźliwe.

Tytuł książeczki o zachowaniu zdrowia podam później, gdy się o niej dowiem.

W tym numerze *Przodownicy* podajemy Wam, drogie Czytelniczki, w odpowiedzi na Wasze zapytania parę sposobów prania bielizny. Są onej doskonałe, ale trzeba do tego przyłożyć ręki, by odeprać do czysta z każdej plamki i przez własne doświadczenie nabrać wprawy. W następnym numerze podamy Wam sposób prasowania męskiej bielizny, przyrządzania sobie krochmalu. Gdy dojdziecie do doskonałości w praniu i prasowaniu, to niejedna szczególniej z dziewcząt może albo założyć sobie pralnię w jakiem miasteczku lub na wsi — albo też godzić się do prania i prasowania. Przedtem jednak — jak już wspomniałam — należy próbować i uczyć się prania na własnej bieliznie.

Prać więc można sposobem następującym:

P r a n i e b i e l i z n y w z i m n e j w o d z i e. Dogodne jest tam, gdzie trudno o drzewo. Bielizna zamacza się w zimnej wodzie i wykręca, potem namydla dobrze, skręca się na pytki, układa w drewniany statek, przyciska denkiem i kamieniem i tak zostawia się na noc. Na drugi dzień roztrzepuje się, nalewa zimną miękką wodą, każdą sztukę dobrze na balii wyciera; potem w drugiej czystej wodzie się wyciera, nacierając plamy mydłem. Na noc znów zostawić namydliwszy i nalawszy bieliznę wodą zimną z farbką, a nazajutrz wypierać do czysta i płókać w zimnej wodzie.

P r a n i e c h e m i c z n y m s p o s o b e m. Na 100 sztuk rozmaitej bielizny bierze się 8 deka terpentyny i 12 deka amoniaku. Zagrzać potrzebną ilość wody, mniej więcej 3 do 4 konewek, rozpuścić 2 funty mydła drobno pokrajanego i wylać wodę w balię. Gdy wystygnie tak, że można będzie włożyć rękę, wlać terpentynę i amoniak, wymięszać, zmaczać w tej wodzie każdą sztukę bielizny i niewyżymając układać w statki, przykryć płachtą i zostawić na noc. Na drugi dzień rano wybierać bieliznę po kilka sztuk na balię i wycierać ją dobrze w tej samej wodzie, dolewając po trochu letniej, czystej wody i pomydląjąc plamy. Wodę kilka razy ze statku wylewać, a gdy wszystkie sztuki się wypierą, znów ułożyć bieliznę w statku, polać letnią wodą i zostawić w spokoju na parę godzin. Potem wypiera się starannie po raz drugi i zostawia na noc w zimnej wodzie. Nazajutrz płókać w zimnej wodzie bez farbki, odmieniając często wodę na balii, a po wypłókaniu farbkować, biorąc po jednej sztuce na balię, bo inaczej będą niebieskie pręgi. Najładniejszy kolor bieliźnie nadaje ultra marina, którą należy przedtem zawiązać we flanelowy woreczek, nalać na misce ciepłą wodą, nic nie wyciskając i tę rozpuszczoną farbkę zmięszać z wodą na balii.

K r o c h m a l e n i e b i e l i z n y. Do bielizny używać trzeba najlepszego krochmalu, który najprzód zamacza się na misce zimną wodą, a następnie parzy się ukropem, mięszając na blasze, dopóki nie rozparzy się wszystek. Potem przecedza się na balię, rozprowadza wodą i w zupełnie rzadkim krochmalu płócze się całą bieliznę z wyjątkiem chustek do nosa, pończoch i ręczników.

P r a n i e d r o b i a z g ó w. Damskie i męskie kołnierzyki i mankiety i inne drobiazgi moczą się najprzód w zimnej wodzie, potem należy namydlić każdą sztukę, dobrze wytrzeć z brudu, układać w misce i polać ciąplą wodą z mydłem. Wyprawszy po raz drugi, włożyć w garnek z ciepłą wodą z mydłem, przystawić do ognia i dać się zagotować, następnie wypłókać dobrze w czystej wodzie, potem ufarbkować, a w końcu maczać każdą sztukę oddzielnie w surowym ryżowym krochmalu i zawinąć w czyste płótno. Gdy nieco poleży, idzie pod gorące żelazko.

P r a n i e w z i e m n i a k a c h. Wypłókane ziemniaki utrzeć na tarce i masą tą nacierać tak jak mydłem całą sztukę przeznaczoną do prania, którą się następnie przeciera w zimnej wodzie. Prane tym sposobem perkale a nawet materye nabierają sztywności, która im pozór nowy nadaje.

Wesołego spędzenia Świąt życzy Szan. Czytelniczkom i Czytelnikom „Przodownicy“ - - - - - - - -

REDAKCYA.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

DZIURDZIOWIE.

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

To mówiąc, rozpromieniła się cała. Z młodziutkich, wesołych oczu jej trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły z za czerwonych warg.

Tymczasem ze szczytu pieca ozwała się Aksena:

— Pietrusia!

— A co?

— Chodzi tu.

Wskoczyła na tapczan u pieca stojący i zapytała:

— Co, babulo?

— Ot co. Michałku teraz dwudziesty pierwszy roczek idzie.

— Ale — potwierdziła dziewczyna.

— To to i bieda. Jakże on z tobą ożeni się, kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zrazu bardzo.

— Nie może być! — krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

— Oj dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tem nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakiemś wojsku wiedzieć? Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie! I miły nie mówił jej ani razu, że w sołdaty pójdzie, choć o tem dobrze wiedzieć musiał, ale zwyczajnie młody: kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opłotka, albo i kibić jej obejmował, wtedy o tem, co będzie kiedyś, nie myślał. Stara Aksena, wiele wiadomości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy raz już, czy raz w swem życiu widziała chłopców w sołdaty branych, którzy wracali nieprędko, nieprędko, a czasem tak jak i jej syn rodzony, nie wracali nigdy? Jeżeli która dziewczyna czekała na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną, bo choć powrócił który, to z innem sercem, z innemi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim w świat poszedł, jeszcze gorzej było, bo życie sołdatki, to już takie życie, że niech od niego Bóg święty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy długo Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietrusia, splótłszy na twarzy ręce, rozpłakała się rzewnemi łzami.

— Nu, — tonem perswazyi zaczęła babka — to idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny, a gospodarz z niego dostatni. Słodko ci życie z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosemi stopy.

— Za niszto! (za nic) — krzyknęła — żeby tam nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

— Czemu? gospodarz taki i młody, i wyrośnięty jak ten dąb, i bratów ma bogatych.

Pietrusia oczu nie odsłaniała i, z ruchami gwałtownej niechęci i niecierpliwości, wciąż powtarzała:

— Za niszto nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki niechęci swej przyczynę wyznała. Było tam raczej przyczyn dwie.

— Wstrętny mnie on i wielmi zapalczywyj. Bić budzie!

Aksena znała Stepana Dziurdzię oddawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy do swarów i bójek. Pracowitym był, roztropnym, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostatnie, długu ani grosza; jednak we wsi powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubem łajaniem i skorą do bójki pięścią naraził się wszystkim, a dziewczęta to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posyłał i nigdzie go nie przyjęto. Dziewczęta, zanosząc się od płaczu, krzyczały w niebogłosy: — bić budzie! jeszcze kiedy zabije! — rzucały się do nóg rodzicom błagając, aby nie wydawali za tego Heroda. Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o te durne i pośle swatów do drugiej wioski, ale gdy Pietrusia dorosła, odtąd Stepan na żadną inną dziewkę nie spojrzał. W nią oczy wlepił i do chaty jej chodził a chodził. Przyjdzie, bywało, i bez potrzeby żadnej zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba, albo kosić, albo młócić: a on siedzi i za dziewczyną oczyma wodzi, na krzątanie się jej i skoki patrzy, śpiewania jej słucha i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że możnaby ją, zda się, niby masło na chleb posmarować.

Ale przychylności dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią, tak ona w Michałka Kowalczuka oczy wlepiła

i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła:

— Nie choczu! Za niszto nie choczu! bić będzie! jeszcze kiedy zabije.!

Niedługo potem Michał Kowalczuk los wyciągnął i ze wsi wywędrował — do wojska. Przedtem jednak, widziano o zmroku dwoje ludzi, długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu za wsią, tam gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata i wnosił się stary wysoki krzyż. To Pietrusia na kamieniu pod krzyżem żegnała się ze swoim Kowalczukiem.

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym na wieki wieków, amen. Powrócić to powróci on tutaj pewno, bo swoją ziemię i chatę w Suchej Dolinie ma, ale aż za sześć lat, to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie, albo i zestarzeje, a Kowalczuk jej nie zechce. Gdzieby on tam za sześć lat jeszcze zechciał!

Niebawem Stepan ożenił się z dziewką z sąsiedniej wioski, a gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały.

Czasem tylko ktoś dawno znajomy, spostrzegłszy ją, z politowaniem głową pokiwał, albo i zażartował:

— A cóż, twój Kowalczuk prędko wróci?

Nie prędko, ale powrócił, i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał pode wsią po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę. Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tem, że Kowalczuk powrócił już z wojska i w swojej chacie porządek robi, a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał się tam, ale w postaci tak zmienionej, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pacholę więcej niż na urodziwego mężczyznę wyglądający i tak jak wszyscy chłopi w Suchej Dolinie, ubierający się w sukienną siermięgę, albo w kapotę z sinego czy czerwonego płótna. Teraz gdzie! Zmężniał i wyprostował się; czarny wąs urósł mu nad wargami, oczy patrzały śmiało i roztropnie, a miał na sobie surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach, a na szyi jaskrawą chustke. W tem ubraniu, z papierosem w ręku, zjawił się w karczmie, a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Od razu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, wygrzeczniał, ale do wioski swojej z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcej to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawiał, o szerokim świecie rozpowiadał i, pomiędzy tańczących wmieszawszy się, z dziewczętami miecielicę i kruciela tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Ze wszystkiemi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkiemi choć raz przetańczył, w oczy każdej zajrzał, jednę nawet wstydliwie od niego uciekającą, pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycałował — a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią kogokolwiek zapytał.

Może istotnie Kowalczuk nie myślał już o Pietrusi i upłynione lata zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jej pozostawił. Przez dwa tygodnie ani widział jej, ani starał się zobaczyć. Widać było tylko, że zamierzał porządnie rękawy zawinąć do pracy, nietylko rolnej, ale i kowalskiej; oświadczył bowiem gromadzie, że tak jak dziad i ojciec jego kowalstwem się trudnili, tak i on trudnić się niem będzie, czyja więc łaska, niechaj do kuźni jego przybywa. W parę tygodni dopiero po swym powrocie, w gorący dzień letni poszedł sobie drogą, het, daleko, pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowej czapce na głowie szedł zwolna, papierosa palił. Tak zaszedł aż za brzozowy lasek, jedno z okolicznych wzgórzy obrastający, a za którym leżał łan pola, dojrzałem zbożem ozłocony.

Dziś właśnie zboże to żąć zaczęto; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która, w miarę poruszania się ich rąk, zdawała się do stóp im kłaniać. Kowalczuk stanął u skraju lasku i patrzał na jednę ze żniwiarek, która, wyprostowawszy się, podjęła w ramionach wielki snop żyta i kilka kroków uszedłszy, rzuciła go tam, gdzie wiele już innych snopów leżało. Potem sierpem w powietrzu błysnęła, pochyliła się znowu i żąć zaczęła. Zbliżała się coraz ku temu miejscu, na którem stał Kowalczuk, ale głowy nie podnosiła wcale i tylko ręce jej poruszały się prędko, coraz prędzej, krzesząc sierpem tuż nad ziemią błyskawice.

Kowalczuk usta trochę otworzył i w tę żniwiarkę trochę wpatrywał się jak w tęczę, papierosa niedopalonego za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasku, pomiędzy brzozami stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku niemu żniwiarka,

jakkolwiek schylona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerkała czasem na niego z pod powiek, ale nie odezwała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędzej i zapalczywiej żęła. Kiedy nakoniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczuk odezwał się sam:

— Dobry wieczór, Piotrusia!

Wtedy i ona wyprostowała się, ręce z sierpem na spodnicę opuściła i odpowiedziała:

— Dobry wieczór.

Ale nie patrzała na niego; powieki z długiemi rzęsami okrywały jej źrenice. Kowalczuk oparł się łokciem o wystający sęk drzewa i, mrużąc oczy, przemówił znowu:

— Czy to pięknie, taką obojętność dawnemu znajomemu okazywać?

Żniwiarka wzruszyła ramionami i, nie podnosząc powiek, gniewnym jakby tonem odburknęła:

— Jaka tam obojętność!

— A jakże! czy to tak Pietrusia przywitać się ze mną powinna?

— Kiedy kto ze mną nie wita się, to i mnie witać się potrzeby niema.

Kowalczuk parę kroków ku niej postąpił. Oczy jej były ciągle spuszczone, a ręce z sierpem na spodnicę opadały. Od kilku już godzin żęła, dzień był skwarny i gęste bujne krople znoju świeciły na ogorzałem jej czole i policzkach tak prawie czerwonych, jak polny mak, który z ciemnych włosów opadał jej za ucho. Kowalczuk patrzał w nią, jak w tęczę. Zdawało się, że przypatrywał się tak tym kroplom potu, któremi twarz jej gęsto skropioną była.

— Cóż ty? — zaczął znowu — pracujesz a harujesz...

— Haruję — odpowiedziała.

— Jak ten wół w jarzmie?

— Jak ten wół...

— U cudzych ludzi?

— U cudzych.

— I starą babulę przy sobie żywisz?

— Żywię.

Znowu krok bliżej ku niej postąpił.

— A czemu za Stepana Dziurdzię nie poszła? — zapytał:

— Bo nie chciałam — odpowiedziała.

— A namawiali ludzie?

— Namawiali.

— A babula kazała?

— Kazała.

— To i czemuż nie szłaś? Było iść, we własnej byś chacie pracowała, w kupne perkale ubierała się i codzień jajecznicę ze słoniną jadła...

Tym razem, dziewczyna żywo z nogi na nogę przestąpiła i odburknęła:

— Niechaj Stepanową jajecznicę świnie jedzą...

— A teraz dziewczęta śmieszne pieśni do ciebie śpiewają, że niby już stara dziewka z ciebie.

Wzruszyła ramionami.

— Niechaj sobie śpiewają.

Kowalikowe oczy roziskrzyły się i ręce zatrzęsły trochę.

— Co ty tak do mnie niby gadasz, niby nie gadasz.. jak do psa jakiego?... Rzuci słóweczko i znów milczy i w oczy nawet nie spojrzy... co ja tobie złego zrobił?

Tym razem Pietrusia z rąk sierp upuściła i, dłonie do głowy podnosząc, zajęczała:

— Oj, zrobił ty mnie, zrobił niedolę dla życia całego i pośmiewisko dla ludzi... Dwie niedziele już temu powrócił, a o mnie ani wspomniał, ani nawet przyszedł dobre słowo powiedzieć, ani w tę stronę, gdzie ja była, spojrzał...

Wstrzymała łzy, które niemal wytryskały jej z oczu, schyliła się po sierp i, czyniąc ruch taki, jakby odejść miała, wpół z płaczem, wpół z gniewem zawołała:

— Nie chcesz ty mnie, nie chcę ciebie i ja... Idzi z Łabudową córką żenisia... najbogatsza w całom siele i oczy ma takie, że jedno na prawo patrzy a drugie na lewo... Idzi do Łabudowej córki z Bohom od menie!

Teraz w szarych jej źrenicach, któremi ogarniała twarz Kowalczyka, było takie mnostwo wyrazów namiętnej skargi i żałośliwej prośby, wrodzonej wesołości i długiej tęsknicy, że Kowalczuk schwycił ją za rękę i trochę ku sobie pociągnął.

— Na mnie czekając, za Stepana nie szła? — przyśpieszonym szeptem zapytał.

— A na kogoż? — odszepnęła.

— A ciężko było żyć?

Palcem łzę z policzka ocierając, odpowiedziała:

— Ciężko.

— Pobóż się!

Palce na krzyż złożyła i oczy ku roziskrzonym błękitom nieba podniosła.

— Tak mnie Boże i Najświętsza Panno dopomóż, że za tobą własnej duszy nie czułam i tak na ciebie czekałam, jak na tego ptaka, co kiedy przyleci, to już słońce zaświeci i miła wiosna będzie..

Schwycił ją teraz wpół i do gaju pomiędzy brzozy pociągnął.

— Toż i doczekałaś się, bo, jak Bóg jest na niebie, tak cię za żonę wezmę i na gospodynię do swojej chaty wprowadzę. Zapomniał ja troszkę o tobie, to jest prawda, ale jak tylko twoje harowanie i ten twój ciężki pot zobaczył, to zaraz serce cościś ścisnęło mi jak w kleszczach, a jak twoje oczy popatrzały na mnie, to cościś we mnie rozpłynęło się jak ten miód...

Długo potem w Suchej Dolinie ludzie gadali, że Pietrusia temu cościś zrobić musiała. Bo któż kiedy słyszał, aby chłopiec, szczególniej jeśli w szeroki świat pójdzie, sześć lat o dziewczynie pamiętał, ożenił się z dziewką nie tak to już młodą, ze wszystkiem ubogą, przybłędą!... Stepanowi zrobiła i temu zrobiła, tylko tamtemu odrobiła potem, a tego już sobie zabrała. Jakieś takie ziele zna, czy co? a może i coś gorszego jeszcze...

III.

Zdala już widać było kuźnię, buchającą czerwonem światłem, i słychać turkot odjeżdżających wozów. Przed tą kuźnią zawsze jak na odpuście albo jarmarku. Z całej okolicy ludzie do Michała Kowalczuka przyjeżdżają, bo takiego jak on nigdzie niema.

A pięknie przedstawiała się postać młodego kowala, który pracować jeszcze nie przestał. W spodniach i koszuli z wysoko odwiniętemi rękawami, silny i zgrabny chłop, żwawo podnosił żylaste ramię, co siły bił młotem po rozpalonem żelaziwie, skry z pod młota sypały się w dół deszczem, a słupem tryskały w górę, śniada twarz z czarnym wąsem i czarna jego czupryna stały w czerwonym blasku. Żwawo pracował i wesoło. Co chwila zagadywał coś do pomagającego mu chłopaka, czasem i przyśpiewywał sobie.

Izba mieszkalna była zaś obszerna, z drewnianą podłogą i wolna od dymu, który przez komin uchodził, tylko spostrzegać się w niej dawały pewne wymysły, jakich u dzidów i pradzidów nie bywało. Oprócz stołów i ław stały tam trzy drewniane krzesła, u sporych okien zieleniało w wazonach kika niskich roślin, na małej szafce z dwiema szybkami połyskiwał blaszany samowar. Wymysły te przywiózł z sobą Kowalczuk z szerokiego świata. Pomiędzy cegły pieca wetknięte łuczywo, paląc się czerwonawym i dymnym płomieniem, oświetlało postać starej Akseny. Według starego zwyczaju kościana babka siedziała na piecu i w dostatniej siermiężce, w czarnym czepcu, wyprostowana, jedną ręką wyciągała z kądzieli nić lnianą, w drugiej kręciła wrzeciono. Pietrusia nosiła po izbie roczne dziecko, kołysaniem i półgłośnem śpiewaniem uśpić je usiłując. W tem we drzwiach izby, poważnym i uprzejmym głosem wymówione, zabrzmiało pozdrowienie Piotra Dziurdzi:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... — z uradowaniem widocznem odpowiedziała Pietrusia i, z dzieckiem na ręku, z rozbłysłemi od zadowolenia oczyma, ku gościowi pobiegła. Aksena, która od czasu oślepienia swego słuch miała ostry, poznała też Piotra po głosie i, na chwilę prząść przestając, na znak powitania głową tak kiwać zaczęła, aż się jej dokoła czarnego czepca białe, siwe włosy rozwiały. Przytem dziękowała mu za to, że sobie o nich przypomniał i chatę ich nawiedził. Pietrusia tymczasem uśpione już dziecko położyła w kołyskę, jedno z tych krzeseł fartuchem otarła i w radośnym uśmiechu pokazując białe zęby, zapraszała gospodarza, aby na niem usiadł. Piotr popatrzał na krzesło, tak jakby przekonać się chciał, że nie złamie się ono pod jego ciężarem i z ostrożnością niejaką na niem usiadł.

— Nu, — zaczął, oglądając się po izbie — po pańsku tu u was, pięknie... Krzesła sobie wymyślili i samowar... oho!

— Po pańsku nie po pańsku — podchwyciła Aksena — ale chwała Bogu niczego nie brakuje... wszystko jest... i chleb jest i zgoda święta jest... jak Pan Bóg przykazał.

— I syn jest... — dodał Piotr, z żartobliwą dobrotliwością na Pietrusię patrząc. Ona zawstydziła się trochę i spuściła oczy, ale, wesoło wciąż uśmiechając się, odpowiedziała:

A jest, dziadźku...

— I drugi zaraz będzie — zażartował dalej.

Tym razem młoda mężatka zaczerwieniła się jak burak, odwróciła trochę twarz i zcicha zachychotała.

— Daj Boże szczęśliwie — z życzliwością zakończył Piotr, a tu i kowal wszedł do izby. Przed opuszczeniem kuźni włożył był na siebie szary spencer sukienny, zieloną taśmą oszyty, i wyglądał w nim bardzo zgrabnie. Twarz miał spoconą od pracy; na widok Piotra ucieszył się bardzo i w obadwa ramiona go ucałował.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.